

MAGAZYN OPINII

Pismo

PAŹDZIERNIK 2018 | NR 10





MAGAZYN OPINII

Pismo

PAŹDZIERNIK 2018 | NR 10

HISTORIA OSOBISTA

Niepublikowana opowieść Martína Caparrósa

REPORTAŻ

Janusowe oblicze samorządów

LITERATURA

Don DeLillo Barbara Klicka

ROZMOWA

Sztuka życia Rocha Sulimy

ESEJ IDEE

Nina Witoszek o rewolucji godności

KOMIKS

Dresiarska historia Trusta i Sztybora

CENA: 12,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



MAGAZYN OPINII Pismo.

PAŹDZIERNIK 2018

OPOWIADANIE

Świąd | 2

DON DELILLO

Podróż z Mojrami | 88

BOŻENA KEFF

POEZJA

Villanelka kusicielki | 9

JACEK PODSIADŁO

Allel | 40

BARBARA KLICKA

(...) | 96

MARIA BIGOSZEWSKA

ANECDOTA

Jajko | 57

RAFAŁ BRYNDAL

OBRAZ

FOTOREPORTAŻ **Super Mario** | 28

PIOTR TRACZ

KOMIKS **Ryfa** | 58

SZTYBOR/TRUST

SZKIC I ZARTY RYSUNKOWE **Jestem zen**

AGNIESZKA ŚWIĘTEK

OKŁADKA **Nostalgia**

TOMASZ MAJEWSKI

PORTRET/ROZMOWA

10 | **Niskie style**

ROZMOWA Z ROCHEM SULIMĄ o autentyczności, sztuce życia i sile śmiechu

34 | **Muhammad Ibn Salman Ibn Su'ud. Narwany**

MARIUSZ JANIK próbuje zrozumieć, jaki naprawdę jest saudyjski następca tronu

REPORTAŻ

18 | **Spółdzielnia pracy „Samorząd”**

ANDRZEJ ANDRYSIAK kreśli obraz samorządów, w który nie chcemy wierzyć

ESEJ

44 | **Łamacze tabu**

WOJCIECH SZYMAŃSKI odziera ze złudzeń: prawicowy populizm ogarnia Niemcy

50 | **Co naprawdę zmieni rewolucja streamingowa?**

JAKUB MAJMUREK zastanawia się, czy zmiany technologiczne zabiją kino

80 | **Rewolucja gęsi**

NINA WITOSZEK o znaczeniu walki o godność

STUDIUM

64 | **Na końcu świata**

JĘDRZEJ MAŁKO szuka nadziei w nadchodzącej apokalipsie

HISTORIA OSOBISTA

72 | **Vicente**

MARTÍN CAPARRÓS, jego dziadek i niepamięć Zagłady

FELIETON

17 | **Fenomeny**

NATALIA FIEDORCZUK-CIEŚLAK

27 | **Podglebie**

HALINA BORTNOWSKA

43 | **Światowe życie**

DARIUSZ ROSIAK

79 | **Tymczasem**

MARCIN WICHA

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957
Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska,
Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa,
Redaktor Naczelny: Piotr Nesterowicz, Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Redaktorka Działu Rzeczywistość: Magdalena Kicińska, Redaktorka Wydania Cyfrowego: Barbara Sowa,
Redakcja i korekta: Marcin Czajkowski, Karolina Iwaszkiewicz, Zofia Sawicka, Dorota Śrutowska,
Barbara Zarzecka, Public Relations: Ewa Salamon, Reklama: reklama@magazynpismo.pl,
Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata, Wydanie Cyfrowe: www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Świąd

tekst DON DELILLO
przełożył KRZYSZTOF CIEŚLIK

—
Ale nikt nie przyszedł, czekał więc, patrząc w ścianę. To była jedna z tych sobót, które są jak niedziele. Nie wiedział, jak to wytłumaczyć. Działo się to co jakiś czas, częściej w ciepłe miesiące, i prawdopodobnie było normalne, choć nigdy o tym z nikim nie rozmawiał.

—
 PO ROZWODZIE ODCZUWAŁ dziwne otępienie umysłowe i psychiczne. Spoglądał w lustro, przyglądając się badawczo twarzy, która odzwajmniała spojrzenie. Nocami trzymał się swojej połowy łóżka, odwrócony plecami do tej drugiej. Życie przeciekało mu przez palce. Rozmawiał z ludźmi, chadzał na długie spacery. Kupił parę butów, ale dopiero poddawszy je rygorystycznej próbie; obydwu, nie tylko jeden. Cztery razy różnym tempem przemierzył sklep z jednego końca na drugi, potem usiadł i spuścił wzrok na buty. Zdjął jeden but i zajął się nim, naciągając podbicie, wkładając dłoń do środka, kiwając w jego stronę z aprobatą głową, stukając palcami wolnej ręki w sztywną podszewę i obcas.

Sprzedawca – kimkolwiek był, cokolwiek robił i mówił, gdy go tu nie było – stał w pobliżu, patrząc i czekając.

—
 JEJEGO BIURKO W PRACY stało przy oknie, więc spędzał czas, przypatrując się budynkom po drugiej stronie ulicy, gdzie za rządzkami

okien nic nie było widać. Zdarzało się, że nie mógł przestać patrzeć.

Patrzył i na wpół ukradkiem się drapał. W pewne dni swędził go lewy nadgarstek. Wieczorem w domu ramiona. Nocami najczęściej uda i golenie. Na spacerze zdarzało się to od czasu do czasu i zwykle dotyczyło przedramion.

Uwięziony w swym ciele, miał czterdzieści cztery lata. Ręce, nogi, tors. Twarz nie swędziała. Na głowie nabawił się czegoś, czemu lekarz nadał nazwę, ale swędziało go tam jedynie z rzadka, a potem wcale, więc i nazwa nie miała znaczenia.

Okna po drugiej stronie ulicy omiatał wzrokiem w poziomie, nigdy w pionie. Nie próbował wyobrazić sobie życia w środku.

—
 ZACZĄŁ MYŚLEĆ O SWĘDZENIU jako o danej zmysłowej z zewnątrz, którą wywołuje jakaś znajdująca się w oddali, niepoddająca się analizie substancja, powietrze w pomieszczeniu albo na ulicy, albo coś w samej atmosferze, rozkład środowiska naturalnego planety.

Zastanawiał się nad tym, ale w to nie wierzył. Była to na poły fantastyka naukowa. Ale stanowiło to także pewną formę pocieszenia w trakcie tych długich okresów niepokoju, gdy leżał na łóżku rozciągnięty, skulony, a wreszcie na brzuchu, nagie ciało w bawełnianej piżamie, cały w kremach i balsamach, próbując się nie drapać ani nie trzeć.

—
 POWIEDZIAŁ SWOJEMU przyjacielowi Joelowi, że sobota wydaje mu się czasem niedzielą, i czekał na reakcję. Joel miał dwójkę dzieciaków i żonę Sandrę. Zawsze mówiło się „Sandra i Joel”, nigdy odwrotnie.

– Sobota, niedziela, no i co z tego. Nie byłoby ciekawiej, gdyby wtorek wydawał się środą? Albo i lepiej: gdyby wtorek w tym tygodniu wydawał się środą z następnego.

Joel był członkiem personelu biurowego. Pisał wiersze, gdy udawało mu się znaleźć czas, niedawno przestał starać się o publikację.

– Jak swędzenie? – spytał. – Myślę o swędzeniu w historii świata i mam pustkę w głowie.

Przyjaciół, była żona, asystenci lekarzy i pielęgniarek w kitlach i tenisówkach. Oni wiedzieli. I nikt inny.

– Jakiś cesarz, członek rodziny królewskiej. Potrzeba ci kontekstu, który mógłbyś wykorzystać. Sławnego męża stanu, który drapie się w tajemnicy. Czegoś, co mógłbyś zbadać, znaleźć szczyptę satysfakcji.

– Myślisz?

– Jasne, albo biblijnego. Może przekonasz się, że jesteś częścią jakiejś wielkiej opowieści, czegoś ciągnącego się tysiące lat. Ziemia Święta. Świąd.

– Jedno słowo. Jedna sylaba.

– Pięć liter. Czytasz w ogóle Biblię? Plaga w czasach biblijnych. Poważnie mówię.

– Ja też.



DON DE LILLO (ur. 1936), jeden z najważniejszych żyjących amerykańskich pisarzy, wymieniany obok Thomasa Pynchona jako przedstawiciel postmodernizmu w rodzimej literaturze. Autor m.in. *Gwiazdy Ratnera*, *Mao II*, *Graczy* czy *Spadając*. W 1985 roku jego *Biały szum* nagrodzony został National Book Award, a w 1992 roku otrzymał PEN/Faulkner Award For Fiction za *Mao II*.

- Rozeznaj się. Ja bym tak zrobił. Wyobrażam sobie, jak strasznie... Środek nocy.
- Środek dnia.
- Tym gorzej – stwierdził jego przyjaciel.

SPOTYKAŁ SIĘ Z KOBIETĄ. Tylko spotykał. Byli dwojgiem małowmownych osób i słowem nie zająknął się o swędzeniu. Miał nadzieję, że gdy i jeśli dojdzie między nimi do intymności, nie będzie to niespodziewane. W innym razie mogłaby wyczuć śladowe ilości balsamów i maści, ciało przy ciele, ręce, nogi, inne miejsca, maści i hipoalergiczne kremy, kortykosteroidy o ultrasilnym działaniu.

Od czasu do czasu jadali kolację, chodzili do kina, wypracowując mimochodem rutynę, która nie pograżyła ich w całkowitej wzajemnej anonimowości.

Miała na imię Ana, przez jedno „n”, i ta porcja informacji go zainteresowała. Owo brakujące „n”. Lubił gryzmolić to imię, ołówkiem po bloku biurowym, wielkie „A”, małe „n”, małe „a”. Na biurowym komputerze stacjonarnym wpisywał je różnymi czcionkami albo wielkimi literami, czasem do góry nogami, niekiedy kursywą lub pogrubione bądź też znakami mało znanych niełacińskich alfabetów.

Podczas kolacji mówiła o filmie, który właśnie obejrzel. Prawie go już zapomniał, jedna scena złowróżbnych gróźb za drugą. Od filmu ciekawsze było niemal puste kino. Przechylił się nad stolikiem, jakby na wpół komicznie, i spytał o jej imię. Przywiązanie do tradycji rodzinnej? Imię z jakiejś europejskiej powieści?

– Żadna tam tradycja – powiedziała. – Żaden obcy wpływ. Po prostu imię pisane w konkretny sposób.

Wolno pokiwał głową, pozostawiony samemu sobie w tej pochylonej pozie i zaskoczony odczuwanym rozczarowaniem. W końcu usiadł z powrotem, nadal się kiwając, i zorientował się, że wyobraża sobie jej ciało. Zawsze ciało. Nie erotyczny zbiór krągłości, lecz coś jeszcze cudowniejszego, samo ciało, pierwotną strukturę fizyczną.

Powiedziała, że jej matka miała na imię Florence.

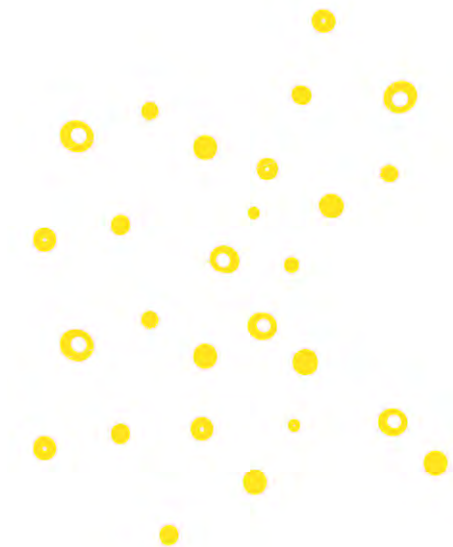
Ale jej ciało, tutaj, w tym krześle po drugiej stronie stołu, człowiek, osoba, bryła z krwi i kości wznosząca się nad setkami, tysiącami lat albo i więcej, milionami, ciało w gruncie rzeczy niczym nieróżniące się w swej najzwyczajszej ciążowości od przy-

garbionych, na wpół pełzających form, które je poprzedzały.

Kazał sobie przestać. Rozmawiali o jedzeniu i restauracji. Spytał, jak miał na imię jej ojciec.

RANKIEM RUSZYŁ HOŁEM budynku, w którym pracował, uważając, by nie patrzeć prosto na innych, którzy zmierzali do swoich biur, cztery czy pięć osób, pod krawatem, w bluzkach i spodnicach. Lubił wyobrażać sobie, że idą donikąd, pozostają w miejscu, ich nogi poruszają się w górę i w dół, i lekko machają rękoma.

JEGO BYŁA ŻONA uśmiechała się w pewien sposób, który ciągle pamiętał. Nie patrzył na niego; uśmiecha się w przestrzeń. Te cztery lata razem, nim rozgorzał ciągnący się tygodniami konflikt, jej posyłane nad stołem kuchennym całusy, aby przepędzić świąd, te nadrzeczne przebieżki letnimi wieczorami.



Symetria swędzenia, oba uda, zgięcia obu łokci, lewa kostka, potem prawa. Kroczcie nie swędzi. Pośladki owszem, gdy sięga spodnie przed pójściem spać, a potem przestają.

Nie mógł zapomnieć jej uśmiechu. Była to piękna chwila, tkwiła w pamięci, jej głowa odwrócona ku przeistaczającej się przeszłości, babcia z darem opowiadania, coś z tamtych czasów; pragnął podążać za uśmiechem w jej życie, złączyć się z tą chwilą wspomnienia na minutę albo godzinę w nieskazitelnym czasie.

BYLI NA NIEDZIELNYM BRUNCHU, dwie pary, w telewizorze nad barkiem w drugim końcu pokoju leciał mecz futbolu amerykańskiego z wyłączonym dźwiękiem. Nie mógł przestać patrzeć na ekran. Krótka akcja, powtórki w zwolnionym tempie, trzy lub cztery powtórki zwykłego sprintu, podania albo wykopu z ręki, różne ujęcia kamery; przyłączył się do rozmowy przy stole, zjadł naleśniki i oglądał dalej. Obejrzał reklamy.

Określenie „niedzielnny brunch” sugerowało świat dobrobytu.

Ale Joel opowiadał o aktualnej sytuacji, niekończącym się globalnym chaosie, wymieniał różne kraje i okoliczności, odkładał widelec, aby móc unieść rękę i gestykutować w ożywiony sposób z łokciem przyszpilonym do stołu. Potem przestał mówić, zrobił przerwę, żeby pomyśleć, aż w końcu wyglądało na to, że przypomniał sobie, co zamierzał powiedzieć, wciąż z uniesioną, ale teraz nieruchomą ręką – prośba o ciszę – i, wpatrując się w czas i przestrzeń, oznajmił w końcu, że wszystkie litery w imieniu Any są również w imieniu Sandry.

– Co pocniemy z tą informacją? – spytała Sandra.

Trzy-cztery reklamy co dwie-trzy minuty. Gromadki reklam. Zaczął myśleć, że jest jedyną osobą – na całym świecie – która ogląda reklamy. Z tej odległości słowa, które towarzyszyły obrazowi na ekranie, ledwo dawały się przeczytać.

– Patrzę na jedzenie na moim talerzu – stwierdziła Ana.

Czekali, ale to wszystko, co miała do powiedzenia.

Trzymał widelec w gotowości. Skończyła się pierwsza połowa i po dłuższej przerwie był w stanie przestać oglądać.

– ZDEJMuję KOSZULĘ, zaczyna swędzieć.

Był w gabinecie, opisywał swoją sytuację dermatologiczną, leżąc płasko na plecach, w ubraniu do kolan, rozpiętym z przodu, z bokserkami pod spodem. Dermatolożka badała jego kostki, golenie i uda. Mówiła nieobecny głosem o patologii skóry. Podobną mu się ten termin. Sugerował jakiś rodzaj zamiarów przestępczych albo zesłanego z góry zła, które się człowiekowi przytrafia, i przypomniał sobie uwagę Joela na temat godnej klątwy natury świądu, czegoś na poły biblijnego.

Zbliżał się do końca trzeciej wizyty u tej lekarki i zastanawiał się, czy powie mu, by przyszedł ponownie za tydzień, za sześć miesięcy albo żeby nie przychodził w ogóle. Wylczyła nazwy marek mydeł i szampónów, opisała choroby, które mogą wynikać z symptomów, jakie ma, on zaś próbował to wszystko zapamiętać, z czym trudno było sobie poradzić, będąc częściowo rozebrany.

Wymieniła ukryte zagrożenia kilku składników pewnych leków przeciwbólowych do zewnętrznej aplikacji.

„Czy musimy być całkiem ubrani – pomyślał – żeby nasza pamięć prawidłowo funkcjonowała?”

– Niektórym pacjentom przepisuję tabletki, plastry, zastrzyki. Ale w pana wypadku widzę, że musi pan zobaczyć w świądnie długoterminowy związek.

Lekarka przyjrzała się jego twarzy, przyciskając palce w rękawiczkach do kości policzkowych, czoła i bokobrodów. W rogu pomieszczenia pojawiła się jej asystentka Hannah, spojrzęły na siebie beznamytnie, a potem wyszła.

—
JOEL ZACZYNAŁ SZYBKO MRUGAĆ, gdy miał do powiedzenia coś osobistego.

Oto, co powiedział.

Zdarzało się, że gdy stał nad muszlą kłozetową, słyszał coś, co brzmiało jak słowa, kiedy jego mocz uderzał w wodę w muszli.

– Jak często się to zdarza?

Powiedział, że średnio co dwa tygodnie albo jakoś tak. Słowa. Słyszał coś, co przypominało cichutki głos, który wypowiadał słowo, a po chwili może drugie, i – z zestawionymi w ramach demonstracji nogami i dłońmi złożonymi w miseczkę w okolicach pachwiny – próbował opisać ten dźwięk.

– Cichutkie słowa.

– Nie wymyślam sobie tego.

– Albo szum, który coś mówi.

– Tylko, gdy strumień jest słaby.

– Jak coś, co się mówi. Wypowiedź.

– Jednogłoskowa.

Byli w szatni lokalnej siłowni, w strojach do ćwiczeń, przygotowywali się do przysiadów i bieżni.

– Jesteś poetą. Wszędzie słowa.

– Zaum. Poezja transakcyjna. Sto lat temu. Słowa, które mają kształty i dźwięki.

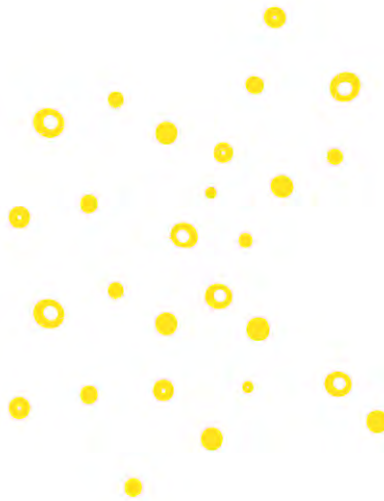
– Małe piknięcia w wodzie muszli.

– Zaum.

– Transakcyjna.

– Słowa i litery są wolne, poza rozumem i tradycją. Kiedy było tak – spytał Joel – że język mógł naprawdę opisać rzeczywistość?

—
PATRZA NA SIEBIE. Czasem się to zdarza. Zawsze inicjuje to ona, jej twarz wyprana z emocji, on zaś przestaje gadać albo jeść i mówi sobie, że nadszedł czas, by spojrzeć jej w oczy.



Zaczyna od zamknięcia oczu i wstrzymania na dłuższą chwilę oddechu. Pozwoli sobie na to, by pójść za nią we wszystkim, co robią. Nigdy nie rozmawiają o tym patrzaniu. Zaczyna się to, a potem kończy.

Kiedy otwiera oczy i zaczyna z powrotem oddychać, jest tam. Ana. Oczy wycelowane w jego twarz, zdecydowana zajrzeć w jego wnętrze albo przejrzeć go, przenikając mężczyźną we wszystkich jego szczegółach, aby znaleźć coś innego. Nieważne co.

Jej twarz jest chłodna i wystudiowana. Czy to ma być jakiś rodzaj wzajemnej introspekcji? Czy to zwykła chwila wytchnienia od gmatwaniny niekończącej się ludzkiej wymiany zdań? Stara się tego nie analizować. Zabawny odprysk jej dzieciństwa, wspomnienie słodko-gorzkiej tęsknoty.

Czy oboje próbują sobie wyobrazić, kim jest ta druga osoba za stopką twarzy i oczu? Niemym prześwitem tożsamości czy tylko pustym spojrzeniem?

Próbuje być bez wyrazu, wyzuć oczy i umysł z przestrzennego wachlarza doznań, z odłamków mentalnych.

Może po prostu chce widzieć i być widziana.

—
POZA TYM TO wulgarnie poczucie jakiegoś mimowolnego zadowolenia, zwierzęca potrzeba. Prawa dłoń na lewym przedramieniu, z początku wykorzystuje czubki palców, by złagodzić swędzenie, ale z czasem ręka jest w ruchu i paznokcie wbijają się jak maszyna do robót ziemnych. Rozsiada się z zamkniętymi oczami i czuje wiszące w powietrzu wrażenie zemsty. Nie ma dla niego znaczenia, czy to idiotyczne.

– Zemsta na twoim ciele – mówi Joel.

– Może. Nie wiem.

– Coś mi się zdaje, że ten świąd to symbol. Sprawdź, co sam możesz wymyślić. Na swój temat.

– Trzymaj się poezji.

– Staram się wybrać tytuł dla czegoś, co właśnie napisałem.

– Rozmawiasz z Sandrą?

– Czasem tak. Ma zdanie na temat tego, co piszę.

– Rozmawiasz z Sandrą o swędzeniu?

– Oczywiście, że nie.

– Oczywiście, że nie. Wiem o tym. Dziękuję – powiedział.

—
STAŁ NA ROGU, czekając, aż zmieni się światło. Psy na smyczach rzucały się na siebie. Lewa ręka pocierała prawy nadgarstek, potem prawa lewy. Ruch uliczny na chwilę ustał i dwie osoby przeszły przez ulicę, ale on postanowił stać, gdzie stał, wiedząc, że za trzy sekundy, dwie, jedną światło się zmieni. Lubił patrzeć, jak maleją cyfry.

Maść na egzeme z dwuprocentową koloidalną mączką owsianą.

Kompleksowy krem na łuszczycę z trzyprocentowym kwasem salicylowym.

Bogata w emolienty formuła, która zapewnia dwudziestoczterogodzinne nawilżanie.

—
PATYKOWATA BUDOWA i wielkie przednie zęby nadawały mu przyjazny wygląd. Ludzie w biurze powierzali mu od czasu do czasu plugawe tajemnice. Nie groziło im, że coś zrobi albo powie, że w jakiś sposób wykorzysta ich zaufanie do jego widocznej nijakości.

Wraz z Joelem był specjalistą w zakresie dostępu, ułatwiał świadczenie usług domowej opieki zdrowotnej niepełnosprawnym konsumentom nielegalnych leków.

Rzadko rozmawiali o wykonywanej pracy. Gadali o rzeczach, które pojawiały się

i znikaly, o wiadomościach lokalnych, pogodzie, mężczyznach strzelających w całym kraju z broni.

Joel co jakiś czas czytał nekrologi pozostawym w pomieszczeniu sześcioru mężczyzn i kobiet siedzących przed monitorami. Część nekrologów była improwizowana, czysta fikcja literacka, i udawało mu się wywołać trochę śmiechu, a czasem burzę oklasków.

PRZEZWISKO NOWEGO doktora w sieci, w hołdzie, brzmiało Mistrz Świąd. Był niski, szeroki i wyglądał na człowieka, który ma w życiu jedną zasadniczą obsesję. Przyrzekał się pacjentowi, który stał w gabinecie w swoich bokserkach. Potem machnął ręką i pacjent się odwrócił. Lekarz stanowczo mówił o historii jego choroby na podstawie tego, co wynioskował z dokumentów, i tego, co widział na samym ciele.

Teraz pacjent położył się na plecach na kozetce.

– Zdejmuję koszulę albo spodnie i zaczynać swędzieć. Albo po prostu swędzi, przychodzi i znika, dniem i nocą.

Rozmawiali o ubraniu, które miał na sobie, o bieliźnie, poduszce i prześcieradłach. Mistrz Świąd z pomocą kilku krótkich zdań dodał mu wiary w siebie, choć wydawało się, że nie odnosi się bezpośrednio i jednoznacznie do jego uwag.

– Z tego, co widzę, nie choruje pan na wypryski sączące ani atopowe zapalenie skóry.

Przeszedł do wymieniania różnych kremów na rozmaite rodzaje świądu. Przestrzegł przed steroidem, który uszkadza skórę, jeśli stosuje się go wielokrotnie. Miał na sobie tak długi kitel, że zasłaniał on jego obuwie.

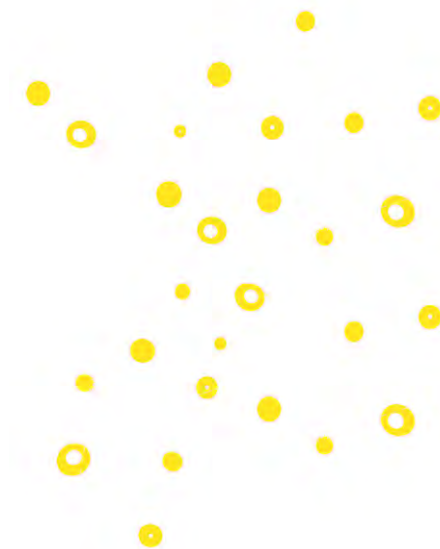
– Ta odosobniona wysypka tu, koło pachy. Niech pan nie rusza. Nie warto drapać.

Leki, które wymieniał, były zamknięte w pewnego rodzaju języku, w ukrytych za mgłą słowach i terminach, w mnóstwie sylab. W języku w jakiś dziwny sposób totalitarnym.

Lekarz kazał pacjentowi obrócić się na brzuch.

– Symetria jest zdumiewająca. Ta lewoprawość. Nie sądzi pan? Ludzie, którzy odczuwają swędzenie na całym świecie. Przedramię, przedramię. Pośladek, pośladek. Równoczesność.

Lekarz mówił nie do ciała na kozetce, ale do pomieszczenia, ścian, może do jakiegoś



ukrytego gdzieś urządzenia nagrywającego. Pacjentowi przyszło do głowy, że cała ta sesja jest na użytek kolegów doktora w instytucie badawczym na jakichś wolnych od przestępczości przedmieściach.

Gdy wizyta dobiegła końca, Mistrz Świąd nie tyle wyszedł z gabinetu – wydawało się, że z niego uciekł.

KIEDY NA POCZĄTKU biegał z żoną nad rzeką, miał poczucie, że zostawia swędzenie za sobą. Przeganiał je. Czasem podczas biegu unosił ręce, poddając się życzliwej sile życia.

JOEL NIE ZAMIERZAŁ dyskutować o wersach. Były to po prostu wersy. Odstępy też były po prostu tym, czym były. Spacje, odstępy, źle postawione słowo.

– Chcę być poetą do szpiku kości. Ale w samej pracy nie ma nic, o czym chciałbym rozmawiać.

– Chcesz gadać o swędzeniu.

– Powiedz mi jeszcze raz, co stwierdził lekarz.

– Wypryski sączące. Ciągłe zapominam to sprawdzić.

– Abstrahując od naukowości, ten termin sam w sobie ma niesłychany urok estetyczny.

– Atopowe zapalenie skóry.

– Nieludzkie. Nie ma mowy.

Joel powtarzał bez końca frazę „wypryski sączące”, wmyślając się w nią i próbując powiedzieć coś zabawnego.

KIEDY ZDJĄŁ SLIPY, zaczęły go swędzieć uda. Ana była w łóżku, patrzyła i czekała. Trzymała ręce nieruchomo po bokach. Wnętrze jej sypialni było mu nieznane i stał przez chwilę z uśmiechem, dostrzegając jej miły, badawczy wzrok. Swędzenie zniknęło, ona znajdowała się tam jednak nadal. Cóż to było dla niego za wybawienie, ulga od codzienności, ona i on, szczęśliwi przez jakiś czas, tak proste.

STAŁY POD ŚCIANĄ budynku na przerwie lunchowej dwie kobiety, koleżanki z papierosami. Zajął pozycję blisko krawężnika, przyglądał się im.

– Palilem dwa razy w życiu – powiedziała.

– Ile miałeś lat? – spytała pierwsza z nich.

– Siedemnaście, a potem dwadzieścia siedem.

– Pamiętasz te liczby – stwierdziła.

– Pamiętam. Myślę o nich.

Lubił patrzeć, jak palą. W ich gestach krył się niedbały wdzięk, swobodny ruch ręki sunącej ku twarzy, rozchylające się usta, sposób, w jaki odchyła się głowa, ledwie widocznie, gdy wciąga dym, najpierw jedna kobieta, a później druga, wreszcie głowa kołysząca się lekko, gdy wypuszcza go z ust, głęboka ulga, przymykające się oczy, jedna kobieta, na krótko, potem druga.

Musiał sobie przypomnieć, że oddziela działanie od jego konsekwencji.

– Jak długo paliłeś? – spytała jedna z kobiet.

– Za pierwszym razem może z półtora tygodnia.

– A za drugim?

– Za drugim dwa tygodnie.

– I teraz spodziewasz się żyć wiecznie.

– Nie, kiedy jestem w biurze.

– Czego w takim razie się spodziewasz?

– Że wyskoczę przez okno obok mojego biurka.

– Zabierz nas ze sobą – powiedziała druga.

W DOMU PRZESZEDŁ z jednego pokoju do drugiego, a potem zapomniał, dlaczego się tam znalazł. Zabrzęczał jego smartfon, wrócił do pierwszego pokoju i podniósł go, oczekując trochę, że przeczyta wiadomość, która wyjaśni mu, dlaczego poszedł do drugiego pokoju.

Dwie godziny później znów był na kozetce lekarskiej, przycupnął na brzegu, a lekarka po sześćdziesiątce analizowała jego lewe przedramię. Podniosła je i patrzyła, zaglądając w ślady po drapaniu, w pory, w samą tkankę.

– Niech pan nie pozwala innym drapać swędzących miejsc. Nic z tego nie będzie – powiedziała. – Sam pan musi drapać.

Gabinet był mały i wydawał się na poły opuszczony – zatęchłe powietrze, wymiętoszone papiery przypięte do tablicy korkowej, przypadkowo porozrzucane rzeczy.

Lekarka zadawała mu pytania, a potem powtarzała, cokolwiek powiedział. Próbował umiejscowić jej akcent – może Europa Środkowa – i to dało mu wiarę w jej umiejętności.

– Kiedy od czasu do czasu, na pięć, sześć minut swędzenie ustaje, czuje się pan lekko osamotniony. Co pan sądzi?

Szukał na jej twarzy uśmiechu, ale go nie było.

– Będzie pan mniej czasu spędzał pod prysznicem.

– Już mi to zalecano.

– Zalecano to panu. Ale nie ja – powiedziała.

Patrzyła mu teraz prosto w twarz. Patrzyła i mówiła. Był pewien, że władza czterema albo pięcioma językami.

– Gorszy są. Inni pacjenci.

– Ja też.

– Jest pan poza konkursem.

– Sam siebie oszukuję. Próbuje się od tego odwieść.

– Je pan. Śpi.

– Jem. Zapomniałem, jak się śpi.

– Z wiekiem, niech pan mnie słucha, mniej pan będzie chodził i gadał, a więcej się drapał.

Nadal nie spuszczała z niego wzroku, wpędzając spojrzeniem w zupełny odwrot.

– Niech pan spojrzysz, gdzie jesteśmy, w ostatnim pomieszczeniu na końcu długiego korytarza. Cztery razy dziennie będę chodzić stąd dotąd, a potem stamtąd dotąd i tak w kółko. Staram się powtarzać sobie, że to nie trzynastowieczne hospicjum dla nędzarzy i umierających. Ale niełatwo dać się przekonać.

Lubił jej słuchać, ale mówiła w przesterzeń.

– Kiedy rozmawiam o świadcze z tymi, których nie swędzi, zaczynają odczuwać swędzenie.

– To prawda?

– To prawda – oświadczyła. – Mówiłam do grupy ludzi w Warszawie. Profesorów i studentów. Im dłużej opowiadałam o odpowiadających za świad nerwach, o neuronach czuciowych u myszy, tym więcej drapania wśród publiczności mogłam zaobserwować.

– Zadawali na ten temat pytania?

– Żadnych pytań. Nie uznaję pytań na forach publicznych.

Kiedy skończyła dźgać go w wyciągniętą rękę, nie przywróciła jej do pozycji przy jego boku, lecz po prostu ją puściła, nagle, a potem obesła stół naokoło i podniosła jego drugą rękę.

– Świerzbi panią czasem? – spytał.

Spojrzała na niego, odnajdując nowe wymiary w tym szczególnym pacjencie, a następnie powtórzyła pytanie głosem, który miał przypominać jego.



– Świerzbi mnie tylko to, co wokół – powiedziała własnym głosem – i to, dlaczego tu jestem.

Kiedy wizyta dobiegała końca, pacjent włożył spodnie, koszulę i buty, a lekarka wypisała kilka recept.

– Gdy zdobędzie pan te leki, przeczyta pan wskazówki na ulotkach, ale nie zastępuje się pan do nich. Są głupie i wprowadzają w błąd. Proszę nie brać leków dwa, trzy, cztery razy dziennie. Słyszysz pan, co mówię. Raz dziennie.

Poczuł się zmuszony, żeby powtórzyć.

– Będzie się pan drapał i drapał. Ale zapamięta pan też, co mówię.

– Co takiego?

– Bez swędzenia jest pan nikim.

Ruszył długą drogą korytarzem, myśląc o lekarce, samej w gabinecie na krańcu świata. Przyjazd windy trwał całą wieczność.

POMYŚLAŁ, ŻE GDY SZLI na spacer z Aną, bardzo blisko siebie, nie rozmawiając o niczym szczególnym, byli po prostu sobą. Niewinność umieszczała ich na pewien czas poza odpowiedzialnością.

Ale ich romans zmieniał się powoli z płynnego w stały.

– A jeśli się zakochamy, co to znaczy? – spytała. – To dla mnie dziwne, że tyle czuję do mężczyzny, którego tak naprawdę nie znam.

Szedł ze spuszczoną głową, skupiony na tym, co mówiła.

– Nie znam cię tak naprawdę. To nie bladość – stwierdziła, udając, że śmieje się ponuro.

W LOBBY LUDZIE STALI w szeregu i czekali. Jedną windę naprawiano, druga mrugała do nich z piątego piętra, zwlekając z przyjazdem.

Postanowił wejść do biura po schodach, na jedenaste piętro, i kilka osób przyłączyło się do niego we wspólnym poczuciu niezadowolienia. W połowie pierwszej kondygnacji zaczął liczyć stopnie, a potem uznał, że musi wrócić na dół i zacząć od nowa, jak należy, od pierwszego.

Zrobił to, sporadycznie spoglądając w dół podczas liczenia, świadom, że rusza ustami. Mężczyzna w garniturze, pod krawatem i w bejsbolówce precyzyjnie się obok, pokonując po dwa stopnie naraz.

Przeszedł półtora piętra, nim zwrócił uwagę na buty, które ma na nogach. Pa-

trzył i liczył, przypominając sobie, że ich nie lubi, i próbując zrozumieć, dlaczego w ogóle je kupił.

Zaczął wchodzić wolniej, widząc, jak chodzi w tę i z powrotem w sklepie obuwniczym i stara się do nich przyzwyczaić. Nie tyle widząc, ile doświadczając mglistego obrazu gdzieś w powietrzu, na wyciągnięcie ręki. Ludzie mijali go na schodach, a on ciągle patrzył w dół, licząc stopnie, widząc buty.

Kilka razy przeszedł się w tę i z powrotem, a później przez chwilę siedział – jedyny klient w sklepie – i zbadał jeden z butów, dłońią i okiem, skrupulatnie.

Czy powiedzenie sprzedawcy, że nie chce tych butów, było zbyt wielkim kłopotem, czymś zbyt niezręcznym? Czy sądził, że sprzedawca będzie rozczarowany, że będzie miał zmarnowany dzień?

Nie znał odpowiedzi, ale ponieważ poczuł się ofiarą sprzedawcy, sklepu obuwniczego i samych butów. Przestał liczyć stopnie na jedną kondygnację przed swoim piętrem.

W biurze usiadł przy swoim biurku, z lewym nadgarstkiem w zenicie porannego swędzenia, i wyjrzał przez okno, omiatając wzrokiem front budynku w niewielkim oddaleniu i wracając do poziomego wzoru okien. Patrzył od lewej do prawej, czytając okna jak książkę, linijka po linijce.

— KONIEC KOŃCÓW, niemówienie jej wydawało się oszustwem.

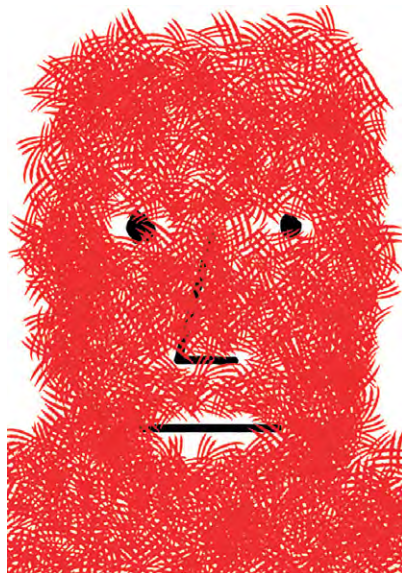
Mieli stolik w rogu niemal pustej kawiarni. Planował unikać szczegółów i powiedzieć, że świąd to znośna choroba, ale pewnie w najbliższym czasie nie zniknie.

Tymczasem słuchali gromów skaczących po niebie i Ana opowiadała o wiejskich piorunach z czasów dorastania, zbliżającej się burzy, swym bojaźliwym zdumieniu grzmotami i postrzępionymi rozblyskami.

Patrzył, jak mówi.

Jej uroda, twarz i włosy, i małe dłonie, sposób, w jaki trzema środkowymi palcami jednej ręki przejeżdżała lekko po analogicznych palcach drugiej. Gest wspomnienia, pełnego niepokoju lub kojącego – nie był pewien.

To nie jest choroba zakaźna, powie, ani jakieś dziedziczne brzemie, które będzie się wlekło za rodziną przez kolejne pokolenia. I może skończy odrobiną czarnego humoru.



„Pomyśl, ile byśmy mieli wspólnych tematów, gdyby ciebie też swędziało”.

Budynek, w którym mieszkał, znajdował się w odległości spaceru, i zaproponował, żeby tam poszli. Nigdy nie była w jego mieszkaniu i lekkim wzruszeniem ramion wyraziła zgodę. Gdy poszła do łazienki, chwilę się wahał, a potem pognął do toalety dla mężczyzn, zamknął się w kabinie, podniósł lewą nogawkę i w skrajnym pośpiechu drapał się zapamiętale, wracając do stolika przed nią.

Deszcz zaczynał dopiero padać i szli jedno za drugim wzdłuż murów budynków, mamrocząc łagodne przekleństwa. W mieszkaniu patrzył, jak przechadza się po salonie, zwracając uwagę na książki i zdjęcia, i zaglądając na chwilę do małej, schludnej, wąskiej kuchni.

Siedziała na sofie, a on na krześle po drugiej stronie stolika. Krótco przedstawił jej historię miejsc, w których mieszkał. Z jakiegoś powodu szeptał.

Nie wspominał o swędzeniu.

W łóżku były tylko ciała, bez słów, a potem leżał sam, drapiąc się w roztargnieniu, i przypomniał sobie, że umieścił wszystkie tubki i słoiczki w apteczce w małym pojemniku pod zlewem, poza zasięgiem jej wzroku.

Pomyślał, że nie był to taki związek, w którym każde z nich byłoby nikim bez tego drugiego. Ale nie wiedział, co o tym sądzić.

Wymówił jej imię na głos, gdy wróciła do pokoju.

Potem odprowadził ją do domu, dwie skulone postacie za parasolem, który trzymał przechylony pod wiatr.

— JOEL ROZMAWIAŁ z nim cicho w kącie biura. Znow się to zdarzyło, słowa w cichym

chlupocie jego moczu w muszli klozetowej.

– W domu, tylko w domu. Tutaj korzystam z pisuaru. W domu, tylko tam jest muszla.

– Nie dźwięk, który przypomina słowo.

– Mówi coś.

– Ale jeśli to jakieś słowo, dlaczego nie możesz go rozpoznać?

– Patrę w ten mały rozbryzg. Patrę i słucham. Staram się.

– Myślisz, że coś mówię.

– Ma pewną siłę wyrazu. Przekazuje, komunikuje.

Szybko mrugał.

– W porządku, to słowo, ale skąd wiesz, że angielskie?

– To mój język.

– Robi się to coraz głupsze. Wiesz o tym.

– Mówię ci, bo ci ufam.

– Sandra o tym wie?

– Nie byłem w stanie zmusić się, żeby jej powiedzieć.

– Powiedz jej. Chciałbym to usłyszeć.

– Wyobraź sobie tę scenę – powiedział Joel. – Idzie za mną do łazienki, staje i czeka, a ja rozpinam rozporek.

– Możesz jej powiedzieć bez demonstracji.

– Będzie się śmiała. Powie dzieciakom.

– O tym nie myślałem.

– Osiem lat. I sześć. Wyobraź sobie ich reakcję.

– Zaum.

– Pamiętasz. Brawo.

– Poezja transracjonalna.

– Kształty i dźwięki. Futuryści. Zaum. Pamiętasz. Kształt, dźwięk.

– Powiedz dzieciom. Zaum. Niech wymówią to słowo.

Wrócili do swoich biur i pochyliли się przed monitorami, przeglądając wiadomości.

— W TEN SPOSÓB pólśen osłabia ludzką świadomość. Wszystko znika. Skupiony w sobie, bez przeszłości czy przyszłości, żywy świąd, w kształcie człowieka, Robert T. Waldron, myślący bez ładu i składu, ciało w prześcieradle.

Opowiadanie ukazało się w wydaniu „The New Yorker” z 7 sierpnia 2017 roku. Copyright © 2017 by Don DeLillo.

POEZJA

Villanelka kusicielki

JACEK PODSIADŁO

—

Więc trwasz wciąż przy tych mętnych grach?

Znów upadłego grasz anioła?

Nie mów mi o namiętnych dniach.

Požary w spodniach aż po dach.

A zawsze może je odwołać,

kto trwa wciąż przy tych mętnych grach.

Ofiarny dym, powietrzny fracht

płynie przez nieba morską połąć.

Nie mów mi o namiętnych dniach.

Ten kruchy gmach, ów rymów krach

jak hostię w eucharystii połam.

Kto trwa wciąż przy tych mętnych grach?

Mówi się: „ha!”. Wzdycha się: „ach”,

kielichy wznosi się w kościołach.

Nie mów już o namiętnych dniach.

Ssiesz miętę w erotycznych snach,

stopą w powietrzu kręcisz koła!

Obstajesz przy namiętnych grach?

Opowiem ci o mętnych dniach.

Niskie style

z PROFESOREM ROCHEM SULIMĄ
rozmawia RAFAŁ KSIĘŻYK

Nie interesuje mnie powielanie teorii. Teorie szybko jałowieją. Interesują mnie zjawiska żywiolowe, praktyki życiowe, fenomeny.

Jakie było najdziwniejsze pytanie, które panu zadano?

„Dlaczego w GS-ie nie ma gumiaków?”, podczas spotkania z chłopami we wsi Długosiodło. W drugiej połowie lat 70., jako krytyk literacki i świeżo upieczony członek Związku Literatów Polskich, pojechałem do tej wsi na Kurpiach, aby mówić o twórczości Sławomira Mrożka i literaturze współczesnej. Na tablicy ogłoszeń, przed remizą czy szkołą, wisiał plakat z dużym napisem: „Dziś przyjeżdża Roch z Warszawy”. Szybko się zorientowałem, że moja prelekcja nikogo tu specjalnie nie zainteresuje, oczekiwałem więc na pytania z sali. I właśnie to pytanie usłyszałem na początku. Na szczęście parę tygodni wcześniej brałem udział w sympozjum literackim, w ramach którego zawieziono nas do fabryki wyrobów gumowych w Grudziądzu i pokazano, jak produkuje się tratwy ratunkowe oraz gumowe obuwie. Mogłem więc chłopom opowiedzieć dokładnie, jak to obuwie powstaje. Była to dla nich prawdziwa nowość, dostałem brawa.

O podobnym zdarzeniu z czasów PRL-u mówił mi kiedyś Wiesław Myśliwski. Z sali padło pytanie: „Dlaczego w GS-ie nie ma gwoździ?”. Po dłuższym wywodzie prelegenta, że teraz dużo buduje się fabryk i stal jest potrzebna na konstrukcje, zadający pytanie stwierdził: „Panie, gwoździe w GS-ie są, ale ciekaw byłem, jak się pan będzie tłumaczył”. I tak to niewzruszona mądrość prowincji wyraziła się w geście przekory wobec mądrości Warszawy.

A ja chciałbym poprosić pana profesora, abyśmy porozmawiali o „radzeniu sobie”. Wspomniał pan o tym

we wstępie do swojej *Antropologii codzienności*, gdzie mowa o opowiadaniu sobie świata, który równocześnie jest swojski i obcy, o obronie dziwactw i przesądów. Sprawia to wrażenie zarysu pewnej sztuki życia.

Dzisiaj ta sprawa jest żywo dyskutowana, ponieważ eksperci życia zastąpili dawnych mędrców. Jesteśmy wręcz osaczeni przez instrukcje tych, którzy nieustannie produkują poradniki „jak żyć”. Mocno też stoi psychologia społeczna. Człowiek musi koordynować swoje działania, odnajdywać ich spójność, ich sens. Otaczająca nas dziś hiperrzeczywistość nie wymyśliła zasadniczo innych sposobów spania, jedzenia, wydalania, umierania, dochodzenia do pełnoletności czy korzystania z biologiczno-kulturowych skutków przyjęcia postawy pionowej, która zapewne w dużym stopniu odpowiada za nasze ucłowieczenie i uspołecznienie. Nawet w dobie elektronicznych „wsporników” egzystencji ludzie potrzebują nieskomplikowanych rozwiązań, które zawsze mamy pod ręką. Można je nazwać strategiami codzienności. Codzienność jest pełna schematów. Psycholodzy mówią na przykład o „skryptach poznawczych”, antropolodzy o „ukrytych wymiarach” naszych zachowań.

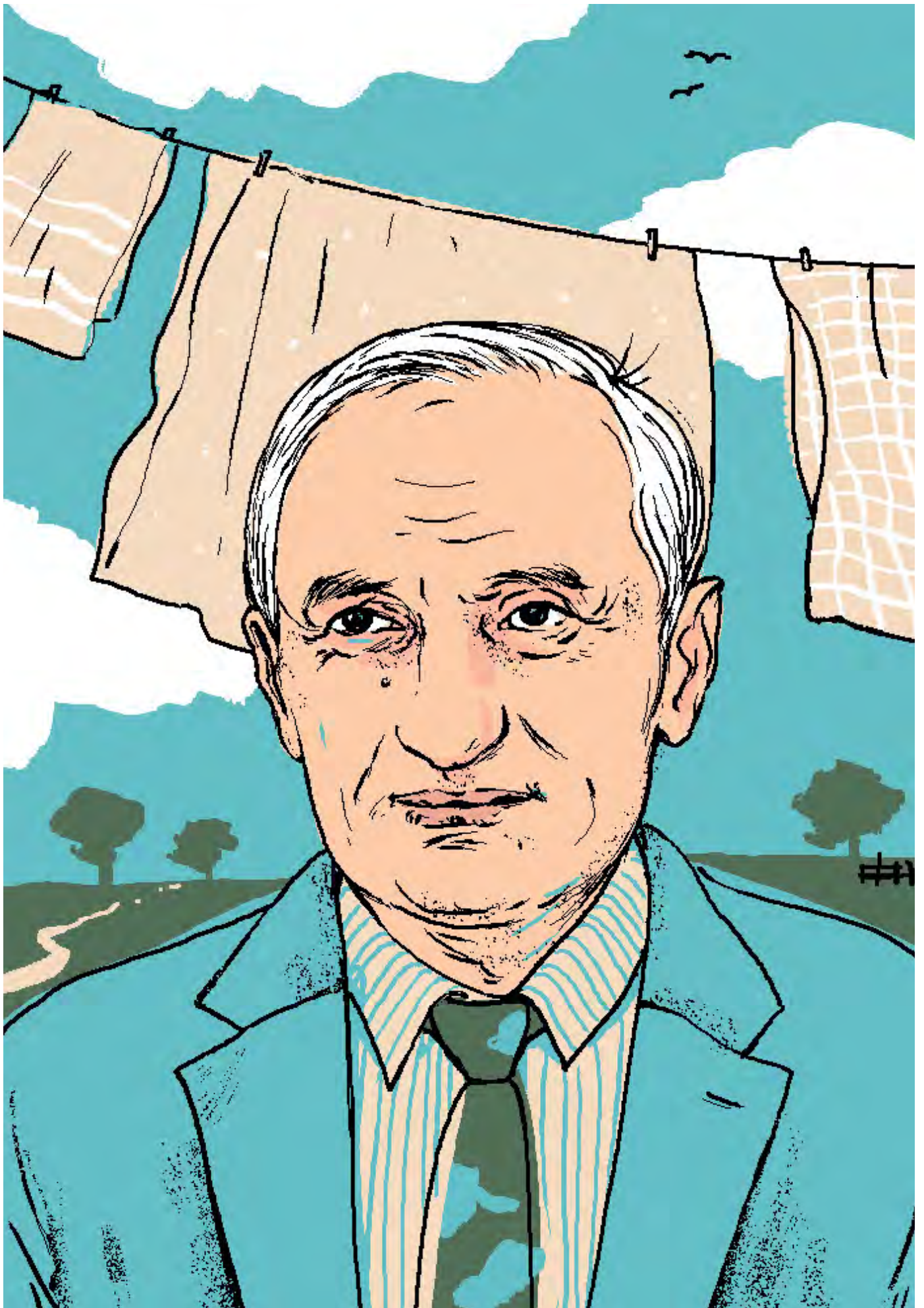
Choć pożądamy „niecodziennej codzienności”, to gwarancje optymalnego poruszania się w świecie są chyba wciąż nieusuwalne. Dziś warto zapytać samego siebie: czy zdobyć się na trochę heroizmu, na próbę życia wbrew poradnikom „sztuki życia”?

Eksperti wykradają codzienność inwencji człowieka, bo wystarczy ich naśladować?

Reżimy eksperckie są realizacją zamówień rynku, czyli idei konsumpcjonizmu. Sprzedaje się scenariusze na satysfakcjonujący wieczór bądź pasjonujące wakacje. To codzienność zaprojektowana. Radzenie sobie w życiu,

ROCH SULIMA

(ur. 1942), kulturoznawca, historyk kultury, krytyk literacki i antropolog kulturowy. Od 2013 roku profesor zwyczajny w Instytucie Kultury i Komunikowania SWPS. Autor bestsellerowej *Antropologii codzienności* (2000).



czyli pokonywanie kłopotów, jest zawsze zorientowane ku jakimś wartościom, one wtedy się ujawniają. To zarazem pisanie biografii własnej, którą się poświadcza swoimi działaniami i osiąga przy tym jakąś satysfakcję. Jeden z miejscowych chłopów, nieżyjący już, słynny w ziemi łżeckiej partyzant, Władysław Owczarek, pseudonim „Bula”, zatytułował swoją biografię: *Ludzka droga. Szkoła przeżywania i pokonywania niepowodzeń i klęsk*. Znaczną część tej książki stanowią porady, przypowieści i schematy słowne, które sterują działaniem. Ujawnił się w niej elementarny poziom egzystencji tego człowieka, system wartości, jego etos. Ponoć na wszystko było kiedyś przysłówie, choć przysłowia są mądrością narodów, które innej mądrości nie mają. Dziś na wszystko są poradniki, które zastępują dawne zbiory zasad.

W *Antropologii codzienności* pisze pan, że codzienność „jest praktykowana”, ale w ubiegłym roku ogłosił pan esej *Upadek w codzienność*. Codzienność jest tam określona jako „forma refleksyjności”, a jeśli już jest praktyką, to totalizującą. Wygląda na to, że zasadniczo zmienił pan swój stosunek do zagadnienia.

Podczas panelu z okazji siedemdziesięciopięciolecia pisma „Konteksty” powiedziałem, że nie lubię chodzić po cudzych śladach, nawet po własnych, dlatego kończę z fascynacją „codziennością”. Bo teraz wszyscy są nią zafascynowani. W telewizyjnej reklamie napoju można na przykład zobaczyć: „Podkręć codzienność”, natomiast w reklamie mleka: „Codzienność nabiera barw”. A więc codzienność stała się potężną modą, towarem, a przy tym rzeczywistością mitopodobną, totalizującą, o dużej mocy oddziaływania. Przygotowuję jednak do wydania w Iskrah książkę pomyślaną przed laty jako druga część *Antropologii codzienności*. Będzie zatytułowana: *Powidoki codzienności*. Uświadomiłem sobie, że codzienność jest dziś zakontraktowana, prefabrykowana, a nieprzewidywalna „składnia” jej idiomów bywa zarządzana przez technikę algorytmiczną. Muszę dokonywać niekiedy sporego wysiłku, żeby przebić się przez tę „ich” codzienność, na przykład codzienność „kapitalizmu emocji”, do swojej codzienności.

I tu właśnie potrzebna jest sztuka życia.

W młodości czytało się egzystencjalistów, a jak się przeczytało Camusa, a wcześniej Dostojewskiego, to mniej więcej wiedziało się, co można myśleć o sensie życia, czym może ta sztuka życia być. Życie nie musi być czymś, co ma nas prowadzić do upatrzonogo celu. Satysfakcji nie przynosi to, że idziemy tam, gdzie idą wszyscy. I tu, w języku preegzystencjalistów, można powiedzieć, że życie jest po to, żeby je przeżyć. Tylko że ta formuła też już jest sprzedana. Przydałby się zatem jakiś gest niezgody.

Taki prosty gest wykonałem, wynosząc się z Warszawy na wieś. Żeby nie było tak, że jestem „zakontraktowany” w każdym wymiarze egzystencji, że nawet wyjazd z miasta na grzyby się nie uda, gdy nie dam temu świadectwa na Facebooku. Aczkolwiek mam wątpliwość, czy wszyst-

ko, co tu mówię, te moje gesty niezgody, nie są również zaprogramowane według reguł cyrkulacji kapitału, a nawet: czy taki sposób tłumaczenia ma sens.

Spotykamy się w Małomierzycach na ziemi łżeckiej. Powrócił pan w rodzinne strony?

Urodziłem się w miejscowości Lipa-Miklas koło miasteczka Lipsko, niespełna trzydzieści kilometrów od Łży. Zawsze oznajmiam, że w moim końcu wsi mieszka trzech profesorów zwyczajnych. Dużo tej profesury na hektar przypada. Jeden z nich, specjalista w zakresie silników lotniczych, powiedział mi, że jest do kupienia siedlisko w środkowej wsi Małomierzycy. Mieszkamy tu z żoną od 2004 roku. W Małomierzycach przez kilka lat odbywały się – raz, dwa razy w roku – „wyjazdowe” seminaria doktorskie. Każdemu z nich towarzyszyła cykliczna publikacja, której tytuł z przymrużeniem oka wymyślił, dziś już doktor habilitowany, Marcin Napiórkowski. Chodzi o *Acta Małomierzycensia. Teoria – interpretacje – grill*, sygnowane przez Centrum Rozwiązywania Kluczowych Problemów Humanistyki w Małomierzycach.

Lepiej na wsi niż w mieście?

Jestem prowincjuszem z urodzenia i zamiłowania. Choć mógłbym się dziś określić antropologiem miasta, lubię rozczytywać się w literaturze prowincji, na przykład skandynawskiej, ale też amerykańskiej. Chciałem uciec od neonów i blasków miasta, no i mam za oknem piękny las, a nad lasem górują w nocy czerwone światła latarni elektrowni wiatrowych. Mam horyzont wypunktowany na czerwono. Taki mnie spotkał przypadek. Świat został sprzedany, to i krajobraz jest sprzedany. I tak się zastanawiam, czy stać nas na przekorę wobec tego wszystkiego? Czy jakiś heroizm jest dzisiaj w ogóle do pomysłenia? Antropologia i filozofia dostrzegły wagę poziomu elementarnego, stąd powrót do takich kategorii, jak „doświadczenie”, „bycie”, „obecność” czy „miejsce”. Powstaje nowa definicja „ja”. Każdy chce być kimś. A szczególnie może być kimś, gdy ma w garści smartfona. Może się definiować w najróżniejszych sytuacjach, robić selfie z porzuconą na skraju drogi oponą albo pod rozkwitającą jabłunką. Za każdym razem żyć na koszt okoliczności. Można już mówić o filozofii *selfie*.

Na czym ona polega?

Filozofia *selfie* to nic innego, jak tania, przelotna próba autodefinicji. Kiedyś istniała taka kategoria jak „osobowość”. To było coś, co kształtuje się poprzez relacje z innymi, nie jest określone przez geny. Poczucie siebie wynikało z przynależności – jesteśmy z tymi czy z innymi. A teraz, gdy w każdej sekundzie możemy być z całym światem, to się rozmyło. Chcemy być sam na sam ze sobą, ale żebyśmy byli na widoku. Trzeba się pokazać, na przykład w mediach społecznościowych, na festynach, eventach albo demonstracjach. To zmusza nas do agresywnego uczestnictwa w świecie wizualnym. Liczymy na uwagę innych, że zauważą mnie, moje działanie. Przez to, że mnie

Taki prosty gest wykonałem, wynosząc się z Warszawy na wieś. Żeby nie było tak, że jestem „zakontraktowany” w każdym wymiarze egzystencji, że nawet wyjazd z miasta na grzyby się nie uda, gdy nie dam temu świadectwa na Facebooku.



zauważyli, to ja „jestem”, mam poczucie bytowania. Jestem. Ja. Za sprawą mediów pojawia się nowy konstrukt. Nasza domowa biografia składa się coraz bardziej „ze zdjęć” niż słów, ale gdy na przykład kiedyś wyłączą prąd, zostaniemy bez biografii, bez osobniczej historii, a przecież ona jest zapisana na poziomie elementarnym. Zgodnie z filozofią *selfie* jesteśmy tym, jak widzą nas inni na Facebooku. Ale to nie jest poziom trwały, to nie jest świat, który zapewnia nam bezpieczeństwo.

To nie jest autentyczne?

Nie lubię słowa „autentyczność”, bo się kompletnie zużyło. A my nieustannie słyszymy, żeby być autentycznym. Dziś jedyne, moim zdaniem, świadectwa autentyczności życia drugiego człowieka można rozpoznać w jego języku. I tu się kłania postawa Henryka Berezy wobec życia rozumianego jak „życiopisanie”. Za sprawą tego, jak ktoś mówi, rozpoznaję w drugiej osobie różne pokłady osobowości, wyznawane wzorce, wartości, strategie życiowe. Jeszcze nie mówimy sztucznymi językami, chociaż posługujemy się na przykład emotikonami. Byłem kiedyś na wakacjach w Łebie. Jest tam jeden z okazalszych pałaców nad morzem, eleganckie towarzystwo przyjeżdża. Siedzimy nad basenem, wchodzi do niego dwóch młodych ludzi i słyszę: „A ja tamoj stojałem”. No, nareszcie inny język. Dwaj młodzieńcy (śląskie rejestracje samochodów) mówili, jak chcą, a wokół celebrytki siedzą i ja, członek Rady Języka Polskiego przy PAN, też tam się zawieruszyłem. Kiedyś Ministerstwo Kultury zaprosiło mnie do komisji, która miała ustalić, jakie fenomeny kulturowe można uznać za polskie niematerialne dziedzictwo kulturowe i wpisać do rejestru UNESCO. Wiadomo, Argentyna to tango. A Polska? Koledzy zgłaszali szopki ludowe, koledowanie itp. A ja mówię: zbójnictwo i bimbrownictwo. I wywalił mnie minister, zapewne dlatego, że w krajach ościennych też te fenomeny znaczą sporo, a i ich niematerialność jest problematyczna.

A czy dla pana kryterium autentyczności nie była kultura ludowa? Od folklorystyki zaczęła się pana kariera naukowa.

Nad moim biurkiem wisiał rysunek, chyba Andrzeja Czczota, przedstawiający tak zwaną babę wiejską kłęczącą pod krzyżem, z dymkiem: „Niech ślag trafi folklor”. I to było jakieś przesłanie mojej folklorystyki w końcowych dekadach XX wieku. Nie cierpię tego dyżurnego obrazu folkloru. Słowo „folklor” narzucono społecznościom ludowym z zewnątrz. Chłopi nie wiedzieli, że mają folklor, dopóki im akademicy nie powiedzieli. Ludowość „na sprzedaż” zaczęła się już w latach międzywojennych. Ale istnieje też światopoglądowy wymiar folkloru, wyznaczony przez coś, co się nazywa chłopskim sposobem bycia. I do tego raczej nawiązuję w swoich rozpoznaniach, a nie do wykrochmalonych strojów ludowych.

Wiesław Myśliwski w eseju *Kres kultury chłopskiej* stwierdza, że chłop musiał sobie sam radzić ze wszystkim, co go spotykało. I przechował coś, co pisarz nazywa wyobraźnią. Musiał żyć niejako „w wyobraźni”, która nie miała

natury fenomenologicznej, ale praktyczną, żeby nic nie mogło go zaskoczyć. Miał wyuczone schematy na każdą okoliczność, podarowane przez tradycję. My znamy kulturę ludową z „rozśpiewanego” i „roztańczonego” Kolberga, ale o życiu seksualnym, zabójstwach, kradzieżach, wiarołomstwach, okrucieństwach, deprawacjach niewiele wiemy. Nie ma tego też w chłopskich pamiętnikach. Ciemna strona życia jest w społecznym obrazie wsi wciąż tabuizowana.

Pan nauczył się w domu rodzinnym tego chłopskiego sposobu życia? Przejął pan chłopską relację z ziemią?

Chyba jednak nie! Ojciec nie sprawdzał się jako pracujący na roli, był natomiast urodzonym trybunem ludowym, działaczem. Z ramienia PSL-u kandydował na posła, ale przed wyborami UB go zamykało. Przyjechał kiedyś delegat z Warszawy, żeby opowiedzieć, jak Związek Radziecki buduje nam Pałac Kultury i po co ten pałac. A mój ojciec wstał i powiedział: „Panie, nam bardziej deszcz przydałby się w maju niż ten Pałac Kultury”. Na drugi dzień go aresztowali. Do 1956 roku dwadzieścia cztery razy więziony lub zatrzymany za działalność antykomunistyczną.

Miał w spadku zapisany jeden korzec żyta, a za działalność w partyzantce – bo razem z „Bulą”, o którym wcześniej mówiłem, tworzyli tu Bataliony Chłopskie – dostał z reformy rolnej trzy hektary ziemi podworskiej w pobliskich Chwałowicach. Mógł się sprawdzić jako rolnik – i się raczej nie sprawdził. Nieustannie musiał być gdzieś na spotkaniu, wiecu, zebraniu. Mój ojciec wyładał w Państwowej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego „zagadnienia społeczne i wychowawcze”.

Nie miał wykształcenia formalnego, ale był bardzo czytany. Świetnie pisał, drukował w prasie międzywojennej, między innymi w „Wiciach”. Nie interesowało go jakieś tam „oj dana, dana”, ale treść kulturowa, sam fundament chłopskiego sposobu bycia. W książce *Ludzka droga* Owczarek zanotował wiele mądrości mojego ojca w postaci aforyzmów. Mogę przytoczyć: „Zło się dzieli i to jest jego największą słabością, w porównaniu z dobrem, które się łączy i to jest jego siła”, „Organizacja jest siłą ludzi słabych”, „Wilki są silne, a owce słabe i bezbronne. Jednak wilków nie ma, a owce są, bo są pożyteczne”. To właśnie mądrości mojego ojca.

A na roli pan pracował?

Oczywiście. To potrafię. Nawet dziś kosę mam niejedną, ale jeszcze nie na sztorc! Miałem przed laty pomysł, aby urządzić w Małomierzycach turniej kosiarzy, który pokazałyby media. Zaprosiłbym biskupa Głódzia, z którym popijałem czerwone wino na uroczystościach osiemdziesięciolecia Polskiego Radia. Doprosiłbym jeszcze Andrzeja Leppera i rzucił wyzwanie: kto szybciej skosi łąkę. Biskup, lider chłopskiej rebelii czy profesor uniwersytetu?

Marzeniem ojca było, żebym skończył średnią szkołę rolniczą w Chwałowicach koło Iłży, ale ja poszedłem do technikum do Radomia. Później, doświadczając wiejskich uroków, pamiętałem, co mówił Marks o „idiotyzmie życia

Znamy kulturę ludową z „rozśpiewanego” i „roztańczonego” Kolberga, ale o życiu seksualnym, zabójstwach, kradzieżach, deprawacjach niewiele wiemy. Ciemna strona życia jest w społecznym obrazie wsi wciąż tabuizowana.